№ 30. 24. Lipca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

J. Kollarowi

wieszczowi odrodzenia Czech

składa w hołdzie polski pieśniarz

*El...y (Asnyk).**)

Gdy lud Wasz wielką rocznicę dziś święci,
Ja, polski pieśniarz, idę do Was w gości
Oddać hołd wieszcza Waszego pamięci
I w cichem święcie słowiańskiej jedności
Wraz z Wami sercem udział wziąć pospołu
Przy uczcie duchów, u wspólnego stołu.

* * *

Przed bohaterem, który w bój bezkrwawy
Prowadził naród, budząc go do życia,
I z tej uśpionej, pięknej Córki Sławy,
Zbutwiałe grobu otrząsał spowicia,
Z pokorą swoje uginam kolano.
Wpatrzony w zorzę genjuszu świetlaną.

* * *

Przed wodzem, który wówczas stał na straży,
Gdy mrok niewoli ćmił wzrok ludu wszędzie,
I białogórskich podjął pieśń cmentarzy,
I kształcił śpiewne języka narzędzie,
Przed ojcem pieśni, wiodącej do czynu,
W imieniu Polski składam liść wawrzynu.

* * *

Bliższym jest bowiem dla polskiego serca
Ten, który skupia — niż ten, co rozprzęga,
Droższym, kto wskrzesza — niż ten co uśmierca —
I żadna władców światowych potęga,
I żadna chwała równać się nie może
Z tą, co ludowi nową niesie zorzę.

* * *

Cześć śpiewakowi, który w śnie proroczym
Czuł, że z letargu cały naród wskrzesi!
Cześć hetmanowi, w którego ślad kroczym
Ku odrodzeniu z Wami, bracia Czesi,
Przez trud pokoleń i duchów torturę,
By oswobodzić piękną Sławy Córę!

* * *

O Córko Sławy! zostań wierną sławie,
Tej, nieskalanej łzami i krwią cudzą,
Niech cię kroczące zwycięsko bezprawie,
Ani wszechwładztwa pokusy nie łudzą,
Szukaj natchnienia i sił w samej sobie,
I w tej przeszłości, która żyje w grobie!

* * *

Idź raczej z tymi, co cierpią i walczą,
Nie chcąc zatracić samobójczo ducha,
I stać się tłuszczą helotów służalczą,
Nad którą dziejów noc zapadnie głucha, —
Niż z tym olbrzymem, co krocząc zuchwały
Wszystkie ludzkości depcze ideały.

* * *

Przyjdzie czas, w którym wypełnią się jeszcze,
Tylko w zmienionej przez dzieje postaci,
Waszego piewcy te natchnienia wieszcze
O świętej zgodzie wśród słowiańskiej braci,
Skryte marzenia czas urzeczywistni:
W objęcie sobie padną nienawistni!

* * *

Gdy prąd duchowy, co kajdany łamie,
Wszystkich podniesi i usamowolni,
Wtedy staniemy do ramienia ramię,
Równi z równymi i z wolnymi wolni!
I Słowiańszczyzna cała silna, młoda,
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

*) Za wspólnem staraniem czeskiej i słowackiej młodzieży, skupiającej się w czeskim akademickim »Spolku« w Wiedniu i słowackim akademickim »Spoloku Tatran« w Wiedniu, opuściło świeżo prasę wspaniałe dzieło, poświęcone pamięci Jana Kollara, którego stuletnia rocznica urodzin przypada 31 lipca b. r. Na treść tego wydawnictwa, ozdobionego pięknemi ilustracjami i obejmującego koło 300 stronic wielkiej ósemki, składa się 40 artykułów, skreślonych piórem wybitniejszych przedstawicieli piśmiennictwa czeskiego, słowackiego, serbskiego, chorwackiego, łużyckiego, ruskiego i polskiego, w ojczystym języku każdego z autorów wymienionych narodowości. Pozostawiając szczegółowsze sprawozdanie z cennej książki do najbliższych numerów »Tygodnia«, ograniczamy, się na teraz do przytoczenia ślicznego formą a głębokiego myślą wiersza Asnyka na cześć nieśmiertelnego piewcy »Córki Sławy«.

Z burzliwej doby.

Historja dwóch lat 1861—1862 przez Z. L. S. Część pierwsza. Rok 1861. Tom II. Styczeń—Maj.

Zdając sprawę w *Kurjerze Lwowskim* z pierwszego tomu tego zajmującego dzieła, zaznaczyliśmy, że oczekujemy z niecierpliwością dalszego ciągu, który będzie ważnym przyczynkiem do ojczystych dziejów. Nie zawiedliśmy się w swojem oczekiwaniu. Tom II. historji p. Z. L. S. zawiera mnóstwo nader ciekawych faktów, jeszcze ciekawszych poglądów, i możemy go śmiało polecić wszystkim miłośnikom prawdy dziejowej, tym mianowicie, którzy nie poprzestają na słowach autora, a potrafią sami sobie wytworzyć należyty obraz z przedstawionych faktów i dokumentów. Prawda, że szanowny autor, zachęcony nader pochlebną recenzją *Czasu*, starał się jeszcze bardziej na nią zasłużyć — obrzucając mianowicie najrozmaitszemi obelgami i nader niezgrabnem szyderstwem cały ruch powstańczy 1863 roku; nie wiemy jednak czy i teraz stronnictwo pseudo-konserwatywne zechce go pochwalić, raz, że nie dorównywa wcale koryfeuszom potępienia narodowego odrodzenia, drugi, że nie umiał, jak oni, skryć, albo przynajmniej należycie przekręcić niewygodnych dla nich faktów. Co do obelg, p. Z. L. S. stanął wprawdzie na wysokości Popielów, Tarnowskich, Dębickich i innych, co do ilości i natężenia nagan — ale — jak się czytelnik o tem łatwo przekona, jakość wiele pozostawia do życzenia, najmniejszego zaś śladu systematyczności w filipikach p. Z. L. S. znaleść nie można. Ponieważ zaś cały tom II. w głównych zarysach trzyma się ściśle gruntownego dzieła rosjanina B e r g a *(Zapiski o polskich zagoworach* (spiskach) *i o wozstaniach)*, zbytnia w swojej carskiej lojalności gorliwość autora budzi niezmierny niesmak w najmniej drażliwym Polaku, skoro się przekona, że Moskal, urzędnik, oficer carski więcej ma wyrozumiałości dla „wichrzycieli, motłochu Warszawskiego, Czerwieńców (sic)“ i nawet dla polskiej arystokracji i dla polskiego duchowieństwa, niż autor, piszący po polsku i przyznający się (rzecz dziwna!) do polskiej narodowości; że nawet nadwołżański „barbarzyniec“ często okazuje się przyzwoitszym i sprawiedliwszym od mieszkańca europejskiej Warszawy. Radzimy jednak czytelnikowi, żeby się nie zrażał tą częścią pracy p. Z. L. S., częścią, że tak powiemy, wymyślającą, bo dziwnie odbija ona od innych poglądów autora, tak dalece, że zdaje się czasami po prostu namalowaną, dla nadania całemu dziełu należytego wiernopoddańczego kolorytu. Sama zaś treść tak pouczająca, tak bogata i wszechstronna, że można z niej zaczerpnąć wiele nauki i nielada pożytek, byle się trzymać pewnej krytycznej metody, o której teraz powiemy parę słów.

W każdem dziele, osobliwie pouczającem, autor opiera się na pewnych zasadach, na określonym moralnym kodeksie, bo inaczej żadnej moralnej nauki być nie może. To, co jest w naszych stosunkach obowiązkiem dla Moskala, jest oczywiście zbrodnią dla Polaka — tak jak n. p. dla Francuzów i Niemców w 1870 roku. Jeźli się zaś przypuści, że Polak i Moskal mają jedne i te same obowiązki, co bardzo być może, i do czego autor podobno dąży, o ile można sądzić z jego nader mętnego rozumowania, — to taki moskiewski Polak powinien samo przez się być najzawziętszym wrogiem Krakowiaka, Poznańczyka, a tembardziej Lwowianina — i na odwrót. Inaczej, jakże osądzić jakie czyny powinniśmy chwalić, jakie potępiać, kto zbrodniarz, kto bohater? Czytając n. p. B e r g a, najmniejszej pod tym względem nie mamy wątpliwości. Moskiewski autor najwyraźniej nam powiada, że: „Nowa Rosja, jakimkolwiek sposobem by ją przekształcali, będzie zawsze dla Polaków wrogiem... że albo my (Moskale), albo oni (Polacy) powinni gospodarować i panować na ogromnej przestrzeni między Uralem i zachodnią Europą, między Baltykiem i Czarnem Morzem. Innego rozwiązania polskiej kwestji być nie może.“ (B e r g, tom III. 515). Dla czego te ogromne przestrzenie, zamieszkałe przez kilkanaście najrozmaitszych narodowości, mają koniecznie się znajdować pod jednem i tem samem panowaniem, tego Berg nie powiada — dość, że trzyma się pewnej zasady, że dla niego każdy Polak jest wrogiem wiecznym, którego „żadnemi ustępstwami zadowolnić nie można“ (tamże), że dla dobra Rosji trzeba go gnębić i tępić bez końca. Krótko i węzłowato, ale bardzo otwarcie i zrozumiale. Dla tego, czytając B e r g a, mamy jasny pogląd na opisane przez niego wypadki, wiemy, że gani i potępia tego właśnie, który najlepiej działał dla polskiej sprawy, najgorzej dla Moskwy, i możemy mu być wdzięczni, kiedy z rzadka w Moskalu bezstronnością, oddaje sprawiedliwość osobistym przymiotom niejednego takiego „wiecznego wroga“, spogląda, jednem słowem, na Polaka jak człowiek i na przeciwnika po rycersku. Nagany zaś jego nas nie dziwią i nie obrażają, są nawet, samo przez się, najwyższą dla nas pochwałą, bo autor najwyraźniej zaznaczył, że nasze i jego obowiązki są najzupełniej sprzeczne.

Takiego moralnego, zasadniczego probierza u p. Z. L. S. ze świecą nie odszukać, jak nie odszukać go ani u p. Tarnowskiego, ani u żadnego niby polskiego pisarza, niby konserwatywnej szkoły. Do jakiego obozu autor należy, tego sam p. Z. L. S. zapewne nie wie, i żaden czytelnik na świecie nie zrozumie. Całe dzieło napisane widocznie przeciw Polakom, o których autor powtarza za B e r g i e m, że ich „jakiś szał ogarnął“, nie dodając jednak, jak prawdomówny Moskal, że ten szał jest chroniczny, że nic nas od niego wyleczyć nie może — bodaj by tak było w istocie! Ale natychmiast spotyka się czytelnik z takiemi wyrażeniami p. Z. L. S.: „dzicz moskiewska“, „wszelka praca organizacyjna z takim rządem, jak rosyjski, jest wprost niemożliwą (str. 379)“, omylił się, jak wszyscy się zawsze mylą, ilekroć mają do czynienia z rządem rosyjskim (str. 389)“, „współczucie dla tego kraju nieszczęśliwego,

Głosy o Gwidonie Maupassancie.

Niedawna a przedwczesna śmierć Maupassanta wywołała w prasie europejskiej istną powódź tak zwanych »wspomnień pośmiertnych« wielce różnych co do rozmiarów, formy i wartości literackiej. Z licznego tego chóru wyjmujemy dwa wybitniejsze a wzajemnie dopełniające się głosy. Pierwszy z nich należy do Zoli, drugi do znanego polskiego poety, nowelisty, powieściopisarza, Wiktora Gomulickiego. Zola, wieloletni towarzysz i przyjaciel zmarłego, opowiada żywem słowem na interwiewie ze współpracownikiem jednego z pism paryskich szczegóły z życia i literackiej działalności Maupassanta, nie wyciągając z faktów zaobserwowanych żadnych wniosków, nie robiąc z nich uogólnień. Naszkicował zwykłą sylwetkę, innym pozostawiając trud oceny i charakterystyki. Obowiązku tego podjął się wraz z wielu innymi Gomulicki, ale wywiązując się zeń ze zwykłym sobie talentem, głębiej sięgnął wzrokiem w duszę francuskiego pisarza, umiejętniej zapuścił w nią sondę analizy.

Ze względów międzynarodowej grzeczności, udzielamy najpierw głosu francuskiemu mistrzowi, który temi słowy snuje wątek swego opowiadania:

»Jako człowiek, Guy de Maupassant był niezwykle sympatyczny. Po raz pierwszy spotkałem się z nim u Gustawa Flauberta. Miał wówczas dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lata. Nasz kochany Flaubert miał prawdziwie ojcowskie przywiązanie dla młodziutkiego Guy de Maupassanta, którego znał od lat najmłodszych, był nawet jego ojcem chrzestnym. Przypominam sobie, iż nieraz byłem świadkiem, jak Gustaw Flaubert poprawiał i wygładzał pierwsze jego próby literackie. Poprawiał ze starannością starego profesora, unosząc się gniewem na ucznia, ilekroć spotkał przymiotnik źle dobrany, lub źle postawiony, kreślił słowa, zdania całe i zastępował innemi, tłomacząc przyczynę.

Zawiązałem następnie bliższe stosunki przyjaźni z Guy de Maupassantem. Przyjeżdżał do mnie często do Medan wraz z Henrykiem Ceardem, Henniquem, Huysmansem i Pawłem Alexisem. Był on w tej epoce małomównym i żaden z nas nie przypuszczał, iż kryje się w nim talent niepospolity. Odznaczał się on wtedy niezwykłą zręcznością i zamiłowaniem ćwiczeń fizycznych. Strzelał z niezrównaną celnością. O trzydzieści metrów strzałem z pistoletu strącał umówione jabłko z drzewa. Po niejakim czasie, powstała w naszem kółku myśl wydania wspólnej nam wszystkim książki, która wyszła niezadługo pod tytułem »Les soirées de Médan«. Gdy Guy de Maupassant przeczytał nam przeznaczoną do tego zbioru powiastkę »Boule de Suif«; zadziwiliśmy się niepomału. To Flaubert napisał, pomyślałem wraz z innymi. Lecz nie, w błędzie byliśmy wszyscy, nie Flaubert, lecz Guy de Maupassant napisał »Boule de Suif«! Następne jego prace przekonały nas o tem wymownie.

Pod względem towarzyskim Guy de Maupassant był niezrównanie miłym i uprzejmym. Usposobienie miał równe i wesołe. Niezmiernie lubiłem słuchać, gdy mówił; opowiadać umiał najdrobniejsze szczegóły z wdziękiem i werwą, jakiej u nikogo nie zdarzyło mi się napotkać. Anegdotki, przez niego opowiadane, bawiły nas i w dobry wprawiały humor. Czasami lubił się przechwalać w blizkiem sobie kółku, lecz opowiadanie nie traciło na tem, przeciwnie, nabierało barwności i nowego wdzięku.

Kobiety przepadały za nim, tak dalece umiał je sobie zjednywać. W postępowaniu, w rozmowie z niemi, posiadał wyszukane a jemu naturalne poczucie uprzejmości, zaprawne rycerskich czasów uwielbieniem dla niewiast.

Pracował wiele, ale mniej, aniżeli przypuszczano w ogólności. Zdrowia sobie pracą nie nadwyrężył nigdy, jakkolwiek taką była opinia. Obłąkanie nie ogarnęło jego umysłu ani skutkiem nadmiernej pracy, ani też z nadmiaru rozkoszy zmysłowych. Zwarjował, albowiem ciążyło nad nim prawo dziedziczności. Brat jego umarł warjatem i liczni są członkowie jego rodziny, którzy cierpieli lub cierpią na choroby nerwowe. Katastrofa, której uległ, była więc do przewidzenia i nikt z bliższych jego przyjaciół nigdy nie wątpił, iż taki a nie inny będzie jego koniec. W ostatnich latach silnie posmutniał i sprowaźniał. Zadziwiające myśli oblegały jego umysł, nabierał przyzwyczajeń, które trwożyły nas wszystkich. Jednem słowem mózg jego tracił równowagę.

Jako pisarza podziwiam go bezwarunkowo. Należy on do tej samej kategorji wielkich pisarzy i mistrzów słowa, co Mollière, La Fontaine, Montaigne, Rabelais. Znał język nasz wybornie i władał nim w sposób prosty, jasny i ścisły. W każdej jego książce są ustępy, zasługujące na miano arcydzieł. Lecz osobiście wolę powiastki od utworów obszerniejszej treści. Celowal w tym rodzaju i niejeden z jego krótszych utworów jest prawdziwem arcydziełem, zapewaiającem na zawsze miano mistrza dla przedwcześnie zgasłego pisarza.«

»Talent jego — pisze Gomulicki w swym artykule o Maupassancie — znamionują przedewszystkiem: bystrość i jasność. Nie bywa nigdy ciężkim, i nie bywa nigdy czułostkowym. Obejmuje przedmiot od razu, sięga do jego istoty i rysami energicznymi odmalowywa go wyraziście. Jest tak głęboki, a zarazem tak prosty, że zaspokoić potrafi umysł najbardziej wyrafinowany, jednocześnie zaś prostakowi nawet nie pozostawia wątpliwości co do swych artystycznych czy społecznych zamiarów.

W utworach Maupassanta pełno słońca i powietrza. Mgły ani śladu. Maluje on ***plein-air'y*** w całem znaczeniu tego słowa. Jest po francusku

rzeźki, w ćwiczeniach fizycznych zamiłowany, zawsze gotowy do tańca, miłostki, pojedynku i — szyderstwa. Czuć w nim pełnię życia, niekiedy jego nadmiar, — życie zaś to udziela się pośrednio czytelnikowi, sprawiając mu rozkoszne podniecenie.

Nie bez słuszności pisał Zola o Maupassancie w r. 1880-ym:

»Głęboki analityk, dzielny artysta, temperament najbardziej zrównoważony i najjędrniejszy wśród młodego pisarskiego pokolenia«.

A jednak ten szermierz silny, odważny i od stóp do głowy uzbrojony, zawiódł pokładane w nim nadzieje. Z pod sztandaru idei usunął się, przebywszy zaledwie połowę swej drogi. Nim jeszcze rozbroiła go choroba, już broń z ręki wypuścił...

Ostatecznie, po ścisłem obliczeniu, widzimy, że przez śmierć Maupassanta poszkodowana jest tylko — sztuka.

Dlaczego?

Dlatego, że przy tem słońcu olśniewającem, wśród tych kwiatów odurzająco wonnych, drzemała żmija, której ukąszenie stało się dla pisarza śmiertelnem. Żmiją tą był pesymizm.

Co innego jest być niezadowolonym z pewnych stron życia, a co innego: nienawidzieć życie samo w sobie. Z niezadowolenia rodzi się postęp; nienawiść jest matką rozczarowania, zniechęcenia i śmierci.

Rozczarowanym, zniechęconym i zaród śmierci w sercu noszącym był właśnie Maupassant. Pozorami materjalisty, szydercy, światowca, ekscentryka i ateusza osłaniał on bezdenną wewnętrzną pustkę. A że kto chce żyć, musi w tem życiu cokolwiek, bodajby siebie samego, ukochać, więc ten umysł, na zimno zrozpaczony, zrobił swojem bożyszczem — może raczej liną ratunkową — kobietę. Dodajmy: kobietę-kochankę.

I oto mamy drugą siłę fatalną, podkopującą talent Maupassanta: erotyzm.

Nikt zajadlej od autora »Bel-Ami« nie biczował kobiety szyderstwem i urąganiem, i nikt zajadlej od niego nie uganiał się za nią. Wiarołomstwo kobiety postawione zostało przez niego nie jako wyjątek, lecz jako zasada. Kobieta według Maupassanta zdradza, bo musi zdradzać, bo to jej prawo przyrodzone, bo zdrada kryje się w jej sercu, jak w zębie żmji. W całym szeregu noweli z jakimś dziwnym, maniackim uporem, na różne sposoby tezę tę rozwija i uzasadnia.

A jednocześnie: głównym i niemal jedynym celem dążeń każdego dojrzałego mężczyzny jest u niego — kobieta.

Podobno są jakieś dzikie plemiona, u których uchodzi za rzecz zwyczajną naprzemian plwać na bożyszcza swoje i padać przed niemi na kolana. Tego to właśnie rodzaju była religja erotyczna Maupassanta.

Bo trudno się łudzić. Pisarz który, dochodząc do czterdziestego roku życia i wiedząc, że talentowi jego zawierzają setki tysięcy czytelników, może poświęcać całą, z niepospolitym artyzmem opracowaną książkę (*Fort comme la mort*) dowodzeniu, że miłość zmysłowa jest wszystkiem na tej ziemi, i że kto traci do niej prawo, traci zarazem i rację istnienia — pisarz ten nie przedstawia dla badacza żadnego zawikłanego problematu. Jest to poprostu: erotoman i melancholik.

— Gdzie moje myśli?... gdzie moje myśli?... — pytał nieszczęśliwy, walcząc z potężniejszą od niego niemocą — a myśli te, nim w chorym mózgu całkowicie znikły, wpierw jeszcze stopniowo gasły i zakres lotu zwężały.

Dla Maupassanta nie zawsze światem całym były objęcia pożądanej kobiety. Na kilka lat przed ostatnią powieścią wydana książka „Sur l'eau“, będąca jedną długą medytacją, w obliczu dwóch nieskończoności: nieba i morza przemyślaną, jakiż bogaty, czuły, wszechstronnie wyrobiony umysł odsłania przed nami! Dopiero ta książka daje klucz do poznania całego Maupassanta. Jawi się on tam jako człowiek, który miał odwagę podnieść kolejno wszystkie zasłony, prawdę życia zakrywające, który przejrzał całą nędzę ludzkiego istnienia i którego dusza, wskutek tego, »smutna jest aż do śmierci«.

Są ludzie, niepojmujący pesymizmu poza złymi warunkami życia. Podług nich, niezadowolonym z istnienia może być tylko człowiek chory, biedny lub zmartwiony. Tłómaczą oni sobie gorycz Leopardiego jego charakterem fizycznym, a rozpacz Byrona jego krzywą nogą. Dla ludzi tych niepojętym będzie zarówno pesymizm Schopenhauera, który był człowiekiem bogatym, zdrowym i niezależnym, jak melancholja Maupassanta, któremu »wszystko się w życiu uśmiechało«.

Tak jest: autorowi »Horli« nie brakło żadnej z tych rzeczy, które w pospolitem znaczeniu tego słowa składają się na tak zwane „szczęście“. Nie zaznał on biedy ani upokorzenia; przyszedł na świat (w r. 1850-ym) w domu zamożnym i arystokratycznym; pierwszą młodość prześmiał, przehulał i przebawił; zdrowie jego i siła fizyczna były przysłowiowemi; o jego tryumfach sercowych mówiono, a nawet rozpisywano się się szeroko; kumami jego ducha byli: Zola, Daudet, bracia Goncourt i Turgeniew; ojcem przybranym: Flaubert; sława wreszcie, a za sławą bogactwo przyszły do niego wcześnie i prawie bez żadnych z jego strony wysiłków...

Niestety! „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie“...